

Wrota nicości

Bernard Korzeniewski

Kiedys, wędrując przez krainę wezbranych zwirowych pagórów i niespodzianych oczek wodnych Suwalszczyzny, odkryłem wrota nicości. Było to widziane od spodu trawiaste wzniesienie z płaskim dachem, ponad którym majaczyło sinawe niebo o odcieniu odległego błękitu. U krawędzi leżącego dalej, niewidocznego już płaskowyzu, rosło kilka od niechcenia rozrzuconych, trzymających ostatnią wartę u granicy świata drzew, a za nimi rozpoczynała się nicość. Co do tego ostatniego nie miałem żadnej wątpliwości.

Nie wiedziałem dokładnie co to znaczy, ani jak wygląda. Pewność nicości była jednakże tak przemożna, że umysł mój próbował naprędce tworzyć jakieś obrazy, które mogłyby choć prowizorycznie wypełnić lukę pomiędzy tą pewnością, a niewiedzą co do faktu, jaki widok kryje się za krawędzią świata. Staralem się zatem choć trochę wejrzeć w to, co znajdowało się po drugiej stronie, wyrobić sobie nieledwie mgliste wyobrażenie na podstawie dotkniętych bezwieczną pustką drzew-świadków i rozpoczynającego się zaraz za nimi sinego oddalenia. Stojąc u podnóża otwartych wrót antycypowałem widoki, jakie się za nimi kryją.

Najpierw wydawało mi się, że aż po niekończący się kres ciągnie się trawiasta równina, jedynie na początku porośnięta niewysokimi, z rzadka rozrzuconymi drzewami. Dalej, po długiej nia wędrowce, trawę spowijała jakby mgła, jeszcze dalej następowała listopadowa szarość, żdźbła płowiały, była cisza, myśli ogarniała senność i można tak było odchodzić bez końca. Coraz dalej, coraz wolniej, coraz... .

To jednak była jakaś zbyt płytka, nieadekwatna i wręcz kiczowata namiastka nicości. A więc zacząłem tworzyć zupełnie już nieposkładane, jakby rodem ze snów wizje przeraźliwie pustych przestrzeni, tak pustych, że nie miały w środku nic, nawet właśnie przestrzeni. To znów umysł mój wyrażał czarną studnię bez dna, w którą wpadałem coraz dalej, dalej i dalej, w nieskończoność tak wielką, że (o dialektyko przeciwieństw) stawała się jednaka z nicością. To jednak jeszcze bardziej mi nie odpowiadało. Wzgórze nie mogło przecież urywać się nagle za krawędzią i gwałtownie przechodzić w niebyt. Przejście to musiało odbywać się w sposób płynny. A zatem nicość, przynajmniej na początku, musiała z konieczności przybrać postać pewnej formy krajobrazu.

Nie mogąc dłużej wytrzymać w niepewności i pragnąc jak najszybciej ujrzeć to na własne oczy, ruszyłem pospiesznie w górę zbocza, dziwiąc się jedynie, że od razu tego nie zrobiłem. Gdy jednak po kilkunastu krokach podniosłem oczy, stała się rzecz dziwna. Nicość zniknęła. W miejsce wiodących do niej wrót pojawiła się normalna krawędź wzgórza, kilka drzew, jakich sporo rosło na okolicznych pagórkach oraz zwyczajne, nieco sinością zasnutę niebo. Niespodziewanie przestraszony i rozczarowany wróciłem z namaszczeniem dokładnie w to miejsce, w którym przed chwilą kontemplowałem wizje niebytu. Z wielkim niepokojem ponownie rzuciłem wzrokiem na szczyt wzgórza. Odetchnąłem. Wrota nicości znowu tam były. A więc jeszcze raz, tym razem powoli i ostrożnie, zacząłem podchodzić w górę pochyłości.

Jednakże doświadczony poprzednio zjawisko powtórzyło się - dość szybko wrota nicości uległy transformacji w nawet malowniczą, ale całkiem banalną postać krajobrazu. Po powrocie do punktu wyjścia, nicość także powróciła. Wyglądało więc na to, że znalazłem się w impasie.

Spróbowałem innej strategii. Zacząłem obchodzić wzgórze z prawej strony, trawersując pochyłość nieco ukośnie pod górę. Nic z tego. Wrota nicości rozplynęły się bardzo szybko. Już bez wielkich nadziei spróbowałem podejść w lewo. Tak jak oczekiwałem, rezultat był ten sam. Zdałem sobie sprawę, że czystym przypadkiem znalazłem się w jedynym punkcie, z którego można było przekonać się o istnieniu wrót nicości hen, w czeluści płaskowyżu. Wiedziałem z niezachwianą pewnością, że nicość tam jest, ale jednocześnie przekonałem się (co dzisiaj wydaje mi się oczywiste), iż była ona dostępna jedynie na dystans, w pewnym upośrednieniu stworzonym przez szczególną perspektywę dość stromo pochylonego zbocza z płaskim wierzchołkiem i drzewami, których korony były już częściowo pogrążone w otchłani niebytu. Nie mogłem nic więcej zrobić. Spojrzałem na wrota po raz ostatni, odwróciłem się i ruszyłem w dalszą wędrówkę. Jednakże piękno krajobrazu mąciła mi jeszcze przez pewien czas jakaś trudna do zdefiniowania tęsknota.